Nr. 7. Lwów, 1. kwietnia 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PIĄTY ZJAZD ŁOWIECKI.

Zbliża się czas, w którym Wydział Towarzystwa zaprosi, jak co roku, wszystkich towarzyszów na zjazd łowiecki, połączony z walnem zgromadzeniem członków Towarzystwa i z premiowem strzelaniem. Z roku na rok zjazdy nasze były liczniejsze i coraz więcej budziły wśród świata łowieckiego zainteresowania, spodziewamy się więc, że i w tym roku znowu będziemy mogli stwierdzić postęp w tym kierunku. Prosimy wszystkich zwolenników św. Huberta, aby datę 16 i 17. czerwca, w których to dniach prawdopodobnie zjazd się odbędzie, raczyli sobie w pamięci zaznaczyć i jeżeli tylko możliwe, wziąć udział w tej naszej prawdziwej, dorocznej uroczystości. Na porządku dziennym, oprócz, jak zwykle, sprawozdania z czynności Wydziału i sprawozdanie z zarządu funduszami Towarzystwa, znajdą się świeżo przez zjazd łowiecki wiedeński poruszone sprawy wspólnego działania w kierunku ochrony łowiectwa i sprawa rozdziału premii dla straży łowieckich z funduszu im. hr. Józefa Potockiego, na które konkurs będzie rozpisany w następnym numerze „Łowca". Jeżeli Sejm w tym czasie się zbierze, mamy nadzieję, że będziemy mogli zdać już zjazdowi sprawę ze stanowczego załatwienia prośby naszej o udzielenie na rzecz celów łowieckich pewnej części funduszów, uzyskanych ze sprzedaży kart łowieckich i co do interpretacyi zakazu polowania w dnie świąteczne.

Jeżeliby który z szanownych członków Towarzystwa pragnął mieć referat w jakiejś sprawie łowieckiej, co do której chciałby większe wśród świata łowieckiego obudzić zainteresowanie, prosimy bardzo zgłosić się z tem do Wydziału Towarzystwa, który propozycyę taką przyjmie z wdzięcznością.

WIOSNA.

Prysły lody i przyroda
Niby znowu gada,
Rzekłbyś: jakaś wieszczka młoda
Wiosnę zapowiada.
Już na rzekach kra w dal leci,
Mknie skowronek głodny,
Promyk słońca niby świeci,
Lecz jak w zimie — chłodny.
Ja tej wiośnie nic nie wierzę,
Sekret to nie nowy!
Marzec szaty wiosny bierze
Jak na bal maskowy.
Płaszcz ma czasem ze stopniałej
Lodowej topieli,
Lecz zazwyczaj płaszcz ten biały
Wdziewa od niedzieli.
A na codzień się odziewa
Szarą burką potem,
W niej od zimna się ogrzewa,
Choć zbryzgana błotem.
Niech wieszcz wiosny wdzięki spiewa!
Niech ją sławi pieniem!
Ona dla mnie zawsze bywa,
Istnem utrapieniem!
To niewiasta, z której oka
Nikt zbadać nie może,
Jaka w niej tkwi myśl głęboka,
W jakim jest humorze.
Nikt nie zbada! — choć tak mile
Chęć jej badać wszędzie,
Jaką będzie znów za chwilę,
Jaką jutro będzie.
Promyk słońca w dniu ukaże,
I twój smutek skróci,
Lecz pod wieczór — na obszarze
Lodem na cię rzuci.
Mnie uczyło doświadczenie —
A więc wyznam szczerze,
Że jak w niewiast przyrzeczenie,
Tak w wiosnę nie wierzę.
Lecz w niej jednak chwila bywa,
W której człek szczęśliwy,
W której milej w duszy spiewa,
A tę zna myśliwy.
To oaza w palmy strojna
W pustyni przestworzu,
To wysepka jest spokojna
Na wzburzonem morzu.
Gdy na krzakach leśnej łozy
Listki zzielenieją,
Gdy w gałązkach martwych brzozy,
Pączki napęcnieją,
Gdy skowronek spadł na łany,
Dźą echa lasowe,
Gdy kos z ziębą na przemiany
Prowadzi rozmowę,
Z wyżłem u nóg, strzelbą w dłoni,
Gdy stoisz wśród boru,
Chciwy użyć twojej broni
Czekasz do wieczoru,
Bo zaręczył ci gajowy,
Słonka nadleciała!
Nawet wczoraj śród dąbrowy
Wieczór zachrapała.
Stoisz cicho u stóp drzewa
Jak posąg ze spiżu,
Słuchasz jak tam dzwoniec spiewa
W krzewinie w pobliżu,
A przyrody boskie tony
Lecą niby z góry,
Jak czarownej lutni strony
Jak Aniołów chóry.
Bo w drzew szumie, ptaszząt spiewie
Budzi się przyroda,
Tu o kłótni nikt nic nie wie,
Tu harmonia — zgoda.
Czyż dąb zmusza tu kalinę,
By jak on szumiała?
Ani kruk małą ptaszynę,
By jak on krakała.
W szczytach dęba wiatr ugania —
On szumi w dąbrowie,
Nikt mu szumieć nie zabrania
Jak niegdyś ojcowie.
Ani sojka rozmarzona
Za to się nie gniewa,
Że nie całkiem tak jak ona
Kos w krzewinie spiewa.
Choć nie tak jak „Kos“, co krzyczy
W Wiedniu w parlamencie.
Każdy zwierz rozumniej ryczy
W każdym lesie święcie.
Dźwięki inne do użycia
Niesie każda chwilka,
Nie usłyszysz tutaj wycia
Wiedeńskiego „Wilka“.
Nie ma tu Rad powiatowych
Chaosu, odmętu,
Ni komisyi podatkowych,
Sejmu, Parlamentu.
Czemuż takich praw przyrody
Nasz świat się nie trzyma?
Czemuż takiej świętej zgody
Między ludźmi nie ma?!...
Czemuż pragnie czerń germańska,
By chwila nastała,
Aby czysta krew słowiańska
Germańską się stała?
Czemuż ona rozkazała?...
I któż to zrozumie?
Aby Wisła tak szumiała
Jak dziś Sprea szumi?
Cóż się dziwić Poznańczykom
Że Hakatę mają,
Kiedy nawet już Chińczykom
Niemcy dokuczają?!..

* * *

Milkną spiewy — wiatr w dal goni
Nocy kir opada.

A przy uchu tylko dzwoni
Owadów gromada.
Zachrapało!... słonka leci!...
Chwytasz broń w zapale...
Coś aż drżenie w sercu nieci...
Nic nie widzisz wcale!...
Takich łowów — wyznam szczerze,
Zwykłe to koleje!
Aż cię nieraz rozpacz bierze..
Rozwiane nadzieje!
Więc powracać trza do domu!
Prędko zbiegły chwile!
Nie wiem jak tam gdzie i komu...
Lecz ja mam dwie mile.
Mam przed sobą podróż śliczną:
Ciemno przed oczyma!
Drogę mam autonomiczną,
I most, co go niema!
Jedziesz... jedziesz ciężkiem błotem,
A droga daleka!
Za spóźnienie się z powrotem,
W domu bura czeka.
Piękna wiosno! za twe wdzięki
Jakże wielbią ciebie!
Strzelby nie wezmę do ręki,
Póki ś ty na niebie!
Wszelka próba jest do czasu.
Przysięgi nie kładę.
. . . .
Pewno jutro ja do lasu,
Na ciąg znów pojadę!

Podkamień w Marcu.

Leopold Starzeński.

ZASIADKA.

Napisał G. Gordaszewski.

W ostatnich czasach dosyć często spotykałem myśliwych, którzy na wspomnienie zasiadki krzywili się niechętnie i w mniej lub więcej dobitny sposób wyrażali swe przeciwne w tym względzie zapatrywania. A niektórzy nawet prawie że wykluczają ją z prawidłowych sposobów polowania.*)

Co to zasiadka, powiada jeden lub drugi z przeciwników, nagonka to co innego, albo kociołek, tam się przynajmniej nastrzelasz, ile dusza zapragnie, a zasiadka? — pójdziesz, siedzisz godzinami i jeszcze nieraz kataru się można dopytać. Inni dobitniej jeszcze argumentując, nazywają zasiadkę wprost „chłopskiem polowaniem." Co? jabym miał siedzieć pod lasem? Leżą dziki w ziemniaki czy kukurudzę, niech Wojtek albo Hryć idzie, mam w kartoflach siedzieć, wolę spać. Na takie dictum nie ma zwykle co argumentować, to też wolę skorzystać z większej cierpliwości papieru, a może i który z przeciwników, wyprawiwszy Hrycia w kartofle czy kukurudzę, w łóżku tych uwag parę przeczyta, i jeżeli nie zaśnie przed końcem, choć w drobnej części przyzna mi nieco słuszności.

Nie mam wcale zamiaru obniżać wartości innych sposobów polowania, ale za założenie sobie wziąć muszę: zasiadka przewyższa wiele a nie ustępuje żadnemu ze sposobów co do wartości i przyjemności myśliwskiej.

Z istoty rzeczy wynika, że usunąć tu muszę z porównania wszelkie polowania na ptactwo, z wyjątkiem chyba dropiów i cietrzewi, i polowania zbiorowe jak kniejowe z pogonką lub z kociołkiem w polu, albo z chartami. Tak w kniei jak i w polu przy nagonce, ściśle biorąc „poluje" właściwie tylko jeden myśliwy, który polowanie prowadzi, reszcie przypada rola „strzelaczów" jak to trafnie choć złośliwie nazwał hr. Leopold Starzeński w swoich gawędach myśliwskich, a do tego nie potrzeba chyba zbytniej znajomości kunsztu myśliwskiego.

Jeźli chodzi tylko o samą przyjemność strzelania, to zgoda, nikt tym polowaniom przyjemności nie odmówi. Ale w każdym razie, przynajmniej mnie się tak wydaje, są one więcej wykonaniem gospodarstwa łowieckiego przez właściciela, niż rzeczywistą „myśliwską" rozrywką dla każdego z biorących udział. Ażeby uniknąć zarzutu zbytniej kategoryczności, zastrzec się tu muszę, że oddzielam pojęcie polowania w zwykle używanem znaczeniu od myśliwstwa. Z tego też powodu nieraz mi trochę fałszywie brzmi często używane w sprawozdaniach wyrażenie „myśliwska biesiada", choć co prawda trudno by je było innem zastąpić.

Ale wracając do przedmiotu, pozostają do porównania sposoby, przy których myśliwy będąc najczęściej sam, kierować się musi własną umiejętnością i przemysłem, tj. podjazd, podchód (Birsch) i zasiadka.

Tym sposobom zasiadka też nie ustępuje, a za to co do sposobności zużytkowania własnych doświadczeń i przyjemności myśliwskiej, jaką daje, do pewnego stopnia może je przewyższać.

Podjazd, musi każdy nazwać sposobem przyjemnym i zaliczyć go do „gatunków szlachetnych", ale..... Przedewszystkiem dobrze jest mieć bór szpilkowy. Każdy z szanownych czytelników przyzna mi pewno, że możliwy w lasach liściastych zimowy podjazd, mniej jest przyjemny, i z powodu nieraz przykrego zimna, i bądź co bądź niewygodniejszej jazdy w odpowiednich celowi sankach niż na wózku. Już nie wspominam nawet o piekielnym prawdziwie modelu sanek, tak często widzianym, ale Bogu dzięki, tylko na obrazach naszych malarzy. Po drugie, przy podjeździe znaczną, prawie że większą część zadania odbierają myśliwemu odpowiednio ułożone konie i sprytny woźnica.

Podchód daje już myśliwemu zupełną samodzielność i więcej ma zalet zbliżonych do zasiadki, jednak i tu znajdzie się nie wielkie wprawdzie, lecz dość ważne ale. Oto jeżli nie koniecznie, to szczególniej nadają się do podchodu lasy szpilkowe, a zawsze odpowiednio oczyszczone i przygotowane linie, co nieraz może być uciążliwem, a czasem

*) Nie ze wszystkiemi zapatrywaniami szanownego autora godzimy się, ale stwierdzamy, że w niemieckiem łowiectwie zasiadka, „Ansitz", jest zaliczaną przez najlepszych myśliwych za tak dobry sposób polowania, jak inne.

Redakcya.

np. w rewirze dzierżawionym i niemożliwem. Przytem podjazdem i podchodem polować można z zamiarem, prawie wyłącznie tylko na rogacze i jelenie. Przejdźmyż do zasiadki. Nie robiłem specyalnych studyów nad historyą myśliwstwa, nie umiałbym więc przedstawić jego rozwoju ani używanych w różnych erach i wiekach sposobów. Zdaje mi się jednak, że nie będzie pozbawione pewnej słuszności przypuszczenie, iż najpierwszym sposobem polowania, odkąd się człowiek nauczył używać łuku i strzały, była zasiadka.

Człowiek jeszeze zanadto był przekonany o fizycznej przewadze zwierza, dla którego sam niedawno przedtem jeszcze był łowną zwierzyną, aby występował otwarcie do walki, chyba koniecznością zmuszony. Tak więc mam nadzieję, że nie będę zbyt dalekim od prawdopodobieństwa, jeżeli zasiadkę nazwać bym się ośmielił początkiem i matką myśliwstwa.

Ażeby zasiadka była rzeczywistą, prawdziwą i dobrym wynikiem uwieńczoną zasiadką, na to potrzeba myśliwego znającego sztukę myśliwską, las i obyczaje zwierza. Takim myśliwym przy dobrej woli i choćby malutkiej iskierce Bożej każdy miłujący myśliwstwo może zostać, i wtedy mu nietrudną będzie zasiadka, i da mu ona prawdziwą przyjemność, a trudu i zachodu z przygotowaniem niewiele.

Żeby zaś o niczem nie zapomnieć, to znaczne nieraz przy innych sposobach koszta przygotowania i wykonania, przy zasiadce redukują się ad minimum, a właściwie rzec by można, nie ma ich wcale. Zacznę od końca, czego potrzeba do przygotowania miejsca, na ziemi czy w polu czy w lesie — niczego coby centa kosztowało, jeźli kto chce urządzić stanowisko na podwyższeniu, wystarczy łat kilka między drzewami lub gałęziami, i jedna za szczeblami do wyspinania się a dla jeszcze mniej wybrednych zwykłe pobereżnickie z ruska nazwane „sidało", z dwu lub trzech splecione gałęzi i garści słomy lub siana, naturalnie nie dla wygodnisiów.

Już sam wybór miejsca daje myśliwemu sposobność sięgnięcia w zapasy myśliwskiego doświadczenia. Wybierając się z domu, musi już przejść w myśli las cały i pola sąsiednie. Przypomnieć wszystkie drogi zwierza na żer i do poju. Zbadać musi kierunek wiatru, stan pogody, przestudyować kalendarz, wschód i zachód księżyca, lub świtanie. Wszystko to, mniejsza lub większa ilość chmur i wilgoci w powietrzu, zmiany księżyca, wszystko zajmuje i interesuje myśliwego, wszystkie poprzednie wypadki, spostrzeżenia i doświadczenia zajmują jego myśl całą, nie można chyba powiedzieć, aby to całe, że tak powiem, duchowe czy umysłowe przygotowanie nie miało w sobie pewnego uroku i pewnym czarem nie pociągało.

Po przybyciu na miejsce, zawsze się jeszcze znajdzie jakieś zajęcie, choćby coś do opatrzenia i poprawienia. Czy gałązek parę spadło, któreby trzeba usunąć, to znowu okrycie się rozsunęło, albo jeszcze jakaś uparta gałązka zasłania widok na przejście. Nareszcie wszystko poprawione, broń przygotowana, i lornetka, jeźli chodzi o rogacze, można zasiąść i oddać się myślom czekając na chwilę wyjścia.

Żadne inne polowanie nie zna takiej ciszy i tak uroczego spokoju.

Nigdy las nie jest cudniejszy, jak po słońca zachodzie i w brzasku porannym.

Cisza aż w skroniach tętni i w uszach szumi. Las się jeszcze nie obudził z śmiertelnego, skwarnego dnia omdlenia. Spowite ciemną wieczornego uroku oponą pnie drzewne, szarzeją zwolna, rosną — rosną, i olbrzymieją, by po chwili wyłonić się w naturalnej, lecz stokroć piękniejszej niż za dnia postaci. To księżyc wschodzi. Luna na wschodzie rośnie, czerwienieje i wybiega w górę przechodząc w blask zielono-srebrzysty i siać poczyna blaski i strzały srebrne, owija drzew pnie i konary w miękie, pieszczotliwe objęcia. A drzewa się budzą pod tem dotknięciem, rzeźwią rosą wieczorną i witają noc lekkiem liści drganiem. Zrazu lekko, sennie drgają drobniutkie drzew najwyższe gałązki, i drgnienie to innym podają, a te powstają i prostują się z miękkim liści szelestem i zwolna las cały żyć poczyna, i odzywać się w głosów i szumów tysiące. To idzie wiew lekki, jak tchnienie, las szumi z cicha jeszcze jak w omdleniu, to silniej i głośniej i szerzej, aż w huk głuchy stłumiony przechodzi, jakby gdzieś daleko setki dział i koni i ludzi leciały; i powiew leci dalej i dalej, aż niknie gdzieś hen na łanach pól zbożowych. I znowu cisza. Po chwili szelest jakiś, lekki, cichy, ale jakiś inny, jakiś podejrzany.

I ocknął się myśliwy, słuch wytęża.

Coś stąpa ostrożnie z daleka, krok, szelest i ustaje, znowu krok, i wreszcie trzask lekki, to gałązka sucha spadając obijała się o gałęzie i z trzaskiem na ziemi spoczęła.

Rozczarowany zwraca wzrok w inną stronę, i w pół ruchu wzrok staje, oddech cichnie a dłoń ściska chwyt strzelby.

Kiedy był zajęty zwodniczą gałązką, rogacz wyszedł cicho, stoi i patrzy pilnie i bacznie w około. Posunął się, znowu patrzy, i wreszcie głowę zwolna pochyla, nie czując strzelca w pobliżu. Takiej rozmaitości, tylu tak różnych i potężnych, śmiało powiem, wrażeń, nie da żadne inne polowanie. Pierwszego w życiu rogacza zastrzeliłem na zasiadce, nie zapomnę nigdy chyba, jak się w niego wpatrywałem, jak się prawie modliłem do niego, aby mi się raczył do strzału obrócić. Obrócił się, spostrzegłem na pewno, jak mi się zdawało, że koza, żal mi było omyłki, mało oczu nie wypatrzyłem w lornetkę i wreszcie dojrzałem przecie rogi z wielką radością, i strzeliłem, na szczęście z dobrym skutkiem. Cała historya trwała niemal pół godziny. Gdybym go był zastrzelił na polowaniu z nagonką, z pewnością by mi ten strzał pierwszy nie zostawił żadnego wybitniejszego wrażenia. Żaden też inny sposób polowania nie daje myśliwemu takiej sposobności poznania życia i obyczajów zwierza, jak zasiadka. Na zasiadce tylko można zobaczyć, jak żyją, jak chodzą, bawią się, jedzą lub i polują rozmaite łowne lub drapieżne zwierzęta.

Przepatrzmy życie i zwyczaje zwierząt u Brehma. Wszystkie prawie opisy życia ich na wolności zebrane są ze spostrzeżeń, już to autora samego, już różnych innych myśliwych, pozbieranych z polowania, jak często wyraźnie wspomina, z zasiadki. Bo w ten tylko sposób można je podpatrzeć, kiedy nie wiedzą, że człowiek w pobliżu, zupełnie swobodnie oddają się swoim, jeżeli można użyć tego wyrażenia, codziennym zajęciom. A czasem i ciekawe i zabawne rzeczy można zobaczyć. W roku o ile sobie przypominam, 1894-ym, widziałem podczas zasiadki komiczny a bardzo zajadły napad trzech młodych lisów nie większych od domowego kota, na sarnę.

W kilka dni później przyglądałem się znowu polowaniu także na sarnę, urządzonem przez dwie sowy, które z pewnością nie w przyjacielskich zamiarach biły na



WIOSNA.

nią tak zapamiętale, że mogłem podejść i zastrzelić z odległości ledwie dziesięciu kroków, naturalnie sowę nie kozę. Za długo byłoby wyliczać inne drobne epizody, jakich z pewnością i każdy z łaskawych czytelników znalazłby dosyć we własnych wspomnieniach.

Zasiadka, można powiedzieć, jest uniwersalną, bo prawie na każdego zwierza i prawie o każdej porze można tego sposobu używać, a czasem prawie jedynie ona tylko do celu i rezultatu może doprowadzić. Np. w lecie na dzika lub lisa. W jaki sposób wziąć dzika w lecie, kiedy drwi sobie formalnie z nagonki i obławy, a tropić go ciężko lub niemożliwe. Każdy rok powiększa liczbę przykładów.

Co roku dziki w wielu okolicach naszego kraju, nie tylko do rozpaczy prawie doprowadzają ludność wiejską, ale nieraz i właścicieli większych zirytują swoją zuchwałością i nienasyconym apetytem. Niechże się tylko urządzi polowanie, już nie mówiąc o urzędowych obławach na polecenie starostwa, oho, dziki jak wymiótł, albo już gdzieś za trzecią czy dziesiątą granicę, albo się tak zaszyją, że i najlepiej w najszczerszych (broń mnie Boże od złośliwości) chęciach prowadzona nagonka ich nie ruszy, na linię strzelców nie wyprze i zwykle skrupi się na paru rogaczach, o ile na to program polowania pozwoli. Myśliwi wracają na objad, nadchodzi wieczór, i nieraz jeszcze pierwszy rober nierozegrany, a dziczki jakby nigdy nic, pomalutku wychodzą sobie z lasu i suną prosto na wczorajszy owies czy ziemniaki. Czyż tak nie bywa? I nieraz. Na zasiadce, prawda jest, nie jeden wieczór zejdzie na niczem, ale ostatecznie prawie z reguły możnaby dać dzikom nauczkę, a zasiadka zawsze łatwiejsza i mniej z nią zachodu niż z nagonką czy obławą, a robra i bez tego można zrobić.

A lis? Ani go otropić, z kopaniem nie raz, jak np. w mojej skalisto-wzgórzystej okolicy trembowelskiej wielka bieda, a nagonce w nos się śmieje. Co robić? Są prawda wypadki, nawet stosunkowo dosyć częste, że można go dostać. Czasem i mądry mykita przemądruje i wlezie pod lufy albo nawet pod kij czy widły na śmierć niesławną. Czasem i on rozmarzony słońcem chrapnie twardo na odkrytem miejscu i da się zejść dość blisko, ale to są zawsze wyjątki. Jak się tylko las i przesmyki dobrze zna, na zasiadkę można wziąć lisa na pewno

Do ważniejszych także zalet zasiadki, muszę zaliczyć i to, że wyrabia ona także w znacznym stopniu ostrość i subtelność słuchu, wprawę wzroku i daje przytem pewien zmysł spostrzegawczy, zdolność zwracania uwagi na wszystko, choćby najdrobniejsze, a to się nietylko podczas polowania przydać może. I to nie tylko u ludzi inteligentnych ale i u ludzi prostych, którzy też z czasem zadziwiać mogą bystrością i subtelnością zauważania i wykorzystania najdrobniejszych wskazań i spostrzeżeń.

Tak np. w sierpniu u pana Władysława Komorowskiego w Bojanowie, poznałem starego, emerytowanego strzelca, doskonałego majstra na dziki dawniejszego autoramentu. On prowadząc mnie na zasiadkę, powiadał, aby nigdy przy księżycu nie patrzyć na dzika wprost pełnem okiem, tylko jak to mówią z podełba, bo ucieknie. I rzeczywiście wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że odblask oczu przy księżycowem świetle może łatwo wzbudzić w dziku nieufność i skłonić go do wczesnego cofnięcia się. Ja nie wiem, czy w ogóle i po ilu gdzieś latach wpadłbym na taki pomysł i to bądź co bądź racyonalne spostrzeżenie.

Tyle mniej więcej, ażeby nie zabierać dużo miejsca, mógłbym powiedzieć na korzyść i obronę zasiadki. Dla krótkości unikałem cytatów, którychby tu można dosyć przytoczyć. Zdaje mi się jednak, że nie będzie zbyt od rzeczy, jeśli zakończę słowami jednego z najpoważniejszych badaczów i myśliwych, słowami Brehma, co pisze przy polowaniu na zające, a co z uwag dalszych, ogólnych, rozciągnąć można i na ogół polowania.

„Nach meinem Geschmacke gewähren dem Jäger die Suche und der Anstand des meiste Vergnügen. Kessel oder Leinentreiben werden (so vergnüglich sie in nicht zu stark bevölkerten Gebieten sind), da wo es viele Hasen giebt, schliesslich zu einer förmlichen Schlächterei, während die Suche und der Anstand immer in Spannung erhalten und des Jägers am würdigsten sind. Dieser hat auf der Suche Gelegenheit, sich als Weidmann zu zeigen, und schöpft auf dem Anstande manche Belehrung, weil er die Thiere (nicht den Hasen allein) so zu sagen noch in ihrem Hausanzuge antrifft und ihr Benehmen im Zustande gänzlicher Ruhe und Sorglosigkeit beobachten kann. Mancher Jäger zieht den Waldanstland jeder Anderen Jagd vor, denn das Süsseste, die Hoffnung ist hier des Weidmanns treue, unzertzennliche Gefährtin. (Brehms Thierleben T. II. str. 467).

Budzanów, w październiku 1900.

TAVOLAZZO W PIEMONCIE

I POLOWANIE NA CIETRZEWIE W ALPACH w roku 1825.

Przez MARKIZA de FOUDRAS.

(Wolny przekład z francuskiego przez A. TYSZKIEWICZA).

— A więc, jutro otwarcie *tavolazza*!

— Cieszę się mocno, jeśli ci to przyjemność robi, lecz chciałbym wiedzieć co to jest to *tavolazzo*? odpowiedziałem.

— Jestto coroczne strzelanie ze sztućców, uroczystość krajowa, która co roku w dzień św. Jerzego się odbywa.

— I jak się to odbywa? — zapytałem.

— Dystans sto ośmdziesiąt kroków, cel wielkości dna twego kapelusza; każdy strzelec ma swą tarczę, zaopatrzoną jego nazwiskiem, strzałów daje sześć. Zwycięscą jest ten, który najwięcej kul wsadzi w około kółka z papieru złotego, wielkości małej pieczątki, która jest na środku biało malowanej baryłki umocowana. Dlatego nazywamy cel nasz baryłką, bo posiada tę formę.

— Kontent jestem, iż znam warunki, bo zadowolę się rolą widza tylko — odrzekłem — nie boję się bowiem rywalizować w strzałach do zająca, lub w dubletach do kuropatw, lecz wasze strzelanie do tarczy zupełnie mi się nie uśmiecha.

— Co za szaleństwo! przerwał mi żwawo Stefan — to byłoby przyznać się już naprzód, że wątpisz o swej

zręczności, gdy przeciwnie biorącemu udział z dobrą chęcią, szczęście może posłużyć.

— A jak mnie zdradzi?

— Jak cię zdradzi, nie będziesz sam, oczekuję jutro rano ministra austryackiego i ambasadora pruskiego, dwóch fuszerów o jakich trudno, będą ci kompanii dotrzymywać; jedynie dla ciebie ich zaprosiłem.

— Więc dobrze! zobaczymy jutro.

— W końcu dodam, że możesz liczyć na broń wyśmienitą i rękę nieomylną przy nabijaniu. Dam ci człowieka, który nie da atomu prochu więcej do jednego ładunku, niż do drugiego.

Nazajutrz po śniadaniu, znajdowałem się w galeryi starej broni, gdzie grałem partyę bilardu z kapelanem zamkowym: gdy wtem wydało mi się, że z oddali dochodzą mnie dźwięki jakby muzyki wojskowej.

Postawiłem na sztelażu kij, którym właśnie składałem się do karambola, i mój wzrok zapewne wyraził dobitnie zapytanie, gdyż poczciwy kapelan odpowiedział nie czekając na wyrażenie go ustami:

— To jest tavolazzo, signor marchese. Przychodzą po mieszkańców zamku, będzie pan widział, jaka to ładna procesya.

W tej chwili wszedł Stefano, by mi dać znać, że trzeba być gotowym, jego strzelec postępował za nim, niosąc dwa sztućce, następnie szła jedna ze służebnych markizy, niosąc koszyczek z rozmaitego koloru wstążeczkami.

— Bierz broń i wybierz jedną z wstążeczek, rzekł mi markiz Nora. Trzeba byśmy gotowi byli, gdy orszak przyjdzie. De Bombelles i Schultz są już na dole.

Żądać jakiego bądź wytłómaczenia od ludzi tak zaaferowanych zwyczajnie mało pożytku przynosi, wziąłem więc nie mówiąc słowa wstążkę koloru seledynowego, którą piękna pokojowa na lewem ramieniu mi upięła. Nacisnąłem kapelusz zawadyacko na ucho i z karabinem na ramieniu poszedłem za Stefanem, który mi się wydał bardzo niecierpliwym.

Nim opuściłem galeryę, odwróciłem się, by zobaczyć co się z kapelanem dzieje, i widzę jak on sobie także poleca przypiąć na lewym ramieniu wstęgę, ba nawet ogniście czerwoną! W parę sekund potem łączy się z nami w sieni, i tak jak wszyscy niesie na ramieniu karabin i ma kapelusz lekko na lewe ucho nasunięty.

Wyszliśmy z zamku, na czele naszym markiz, w tej chwili procesya tavolazza przekraczała bramę wieży, zmierzając ku nam, zatrzymaliśmy się zaraz, by na nią zaczekać, jak później się dowiedziałem cały ceremoniał tavolazza jest już od setek lat uświęconym i niezmienianym.

Orszak idący na nasze spotkanie, był dla mnie rzeczywiście czemś zupełnie nowem i osobliwem. Poprzedzanym był przez 30 muzykantów, ubranych od stóp do głów we wstęgi, którzy grali w miejsce marsza wesołą i skoczną monferinę, za nimi postępowało trzech syndyków miasta Nory, z powagą eskortowanych przez dwóch chorążych, z których idący po prawicy niósł sztandar o barwach markiza, idący zaś po lewicy, sztandar miasta, bezpośrednio za nimi w dwóch szeregach postępowali strzelcy towarzystwa tavolazzo w liczbie dwudziestu mniej więcej, pomiędzy którymi liczyłem siedmiu lub ośmiu księży.

Muzyka zatrzymała i ustawiła się z boku, markiz podszedł kilka kroków naprzeciw syndykom, z których jeden palnął krótką mówkę w piemonckim narzeczu, oczewiście przez nas hucznie oklaskiwaną.

Stefano odpowiedział — kilkakrotnie przerywano mu aplauzem. Przybyli tu jak co roku, by markizowi ofiarować przewodnictwo tavolazza i jak co roku, odpowiedział, że przyjmuje, chociaż jest wielu godniejszych od niego. Po tej wymianie grzeczności, zmięszaliśmy się z orszakiem; hrabia de Bombelles obok poczciwego tkacza, baron von Schultz dostał za towarzysza fabrykanta kiełbas bolońskich, mnie fatum przeznaczyło jakiegoś szynkarza.

Muzyka stanęła znowu na czele, grano znowu monferinę z animuszem i ruszyliśmy na miejsce, gdzie się tavolazzo miało odbywać.

Całe miasto miało wygląd świąteczny, panie i panny postrojone, dzieci z ogromnymi bukietami, z wszystkich okien chorągwie powiewały i frenetyczne oklaski orszak nasz witały.

Przybywszy na miejsce, każdy z nas otrzymał baryłkę służącą za cel, na której swe nazwisko wypisać musiał i z woreczka musiał wyciągnąć numer, który mu miejsce naznaczał w szeregu strzelców. Nawet i przewodniczący nie był wyjętym z pod tego prawa.

Mnie przepadł numer 3, Stefanowi numer 9, pierwszy zaś numer przepadł suchemu, długiemu kanonikowi, którego nazywano Theologo, nigdym się nie mógł dowiedzieć, z jakiego powodu.

Nie przeceniałem wcale dystansu 180 kroków, o którym mi Stefano wczoraj mówił: zdał mi się kolosalnym, ze względu na małość celu i jeszcze do tego, że dyabelska baryłka szersza w środku niż przy końcu, myliła oko, pokazujac cel większym niż był w rzeczywistości. Co zaś do małego kółka z papieru złotego, widać go było tyle, co gwiazdy na niebie o 10-ej rano w miesiącu lipcu.

Huczna fanfara obwieściła początek. —

Theologo, który od kilku chwil stał w trzeciej pozycyi z bronią podniesioną, majestatycznie zniżył lufę karabina, nachylił głowę do zamka i przymknął lewe oko.

Sądząc, że strzał padnie, patrzałem w cel.

Zniecierpliwiony, że tak długo zwleka, odwracam się ku Theologo, a on odłożywszy od twarzy karabin ze spokojem rozmawia ze sąsiadem.

— Cóż się stało? pytam Stefana.

— Och nic, muszka usiadła mu na lufie i niepozwalała dokładnie wymierzyć.

— Jakto, więc taką na to strzelanie wagę kładziecie? odrzekłem, ależ to nie jest już zabawa, lecz...

Nie dokończyłem, gdyż w tej chwili Theologo się złożył i strzał padł.

Gdy dym się rozszedł ujrzałem człowieka jakiegoś przy baryłce Theologa.

Człowiek ten zdjął kapelusz i zwróciwszy się do nas skłonił się. Podniósł laskę i koniec przyłożył do środka baryłki. Spojrzałem z uwagą, w śród biało malowanego kręgu, ujrzałem dziurę czarną, którą kula zrobiła, pół złotego papierka było urwane.

— To przypadek — szepnąłem.

— Patienza, odrzekł Nora, kładąc palec na ustach.

— Drugi strzał Theologa rezszerzył o pół kalibra dziurę pierwszej kuli.

Tak samo stało się z czterema ostatniemi strzałami, wszystkie sześć strzałów nie zabierały więcej miejsca niż sześć dziur świdrem koło siebie jak najbliżej wywierconych.

Po Theologo przyszła kolej na tkacza, potem ja strzelałem, potem fabrykant kiełbas bolońskich itd. Krótko mówiąc grzmiało od strzałów przez pięć przeszło godzin.

Pierwsza nagroda bezsprzecznie należała do Theologa, Stefano otrzymał drugą, co do trzeciej nagrody ciągnęliśmy losy ja i jakiś gruby księżunio i miałem to szczęście, żem ją otrzymał.

O nagrodę można li tylko wtenczas było kompetować, jeżeli się 6 kul w cel wsadziło. Nagrody przedstawiały srebrne naczynia znacznej nawet wartości, z pomiędzy kompetentów do nagrody wybierano trzech, których kule najmniej miejsca zabierały w tarczy.

— Ty sobie żartowałeś ze mnie — powiedział Stefano.

— To czysty wypadek — odrzekłem — nigdym w życiu do celu nie strzelał.

— Jeźli przyjedziesz na przyszły rok, pobijesz nas wszystkich, patrz na tego biednego Theologa, jeszcze nie przyszedł ze strachu do siebie, jakiego go twe trzy pierwsze strzały nabawiły: będzie już 50 lat, jak on się ćwiczy, by być najlepszym strzelcem, a to jest 19 raz z rzędu, jak pierwszą nagrodę bierze.

Grzmot bębnów dał znak ustawiania się w szeregi do powrotu i w tym samym porządku wracaliśmy do zamku.

Myślałem, że to tylko forma grzeczności, którą robiono dla markiza i że festyn się skończył, lecz się omyliłem, jak zobaczycie.

Podczas naszej nieobecności na północnaj tarasie zamku, przygotowano stoły na sześćdziesięciu przeszło biesiadników.

Wszyscy członkowie tavolazza zajęli miejsca z żonami i dziećmi i kuzynami, pośród tych ostatnich zauważyłem dwie prześliczne dzieweczki, które, jak twierdził gruby księżunio, mój rywal do trzeciej nagrody, były córkami jego młodszej siostry.

Wszystkie miejsca honorowe przy stole zajęli mieszkańcy miasta. Markiza umieściła po prawej swej stronie Theologa, a prezesa syndyków po lewej. Stefano tak samo posadził koło siebie żonę jednego z urzędników i córkę poczmistrza, hrabia de Bombelles i baron Schulz, żona moja i ja, pomagaliśmy o ile możności zacnym gospodarzom w robieniu honorów festynu.

Wszyscy byli zadowoleni tam, gdzie prawie wszystkie klasy towarzystwa razem się znajdowały z jednej strony uszanowanie nie miało nic niewolniczego, z drugiej postępowanie nic uwłaczającego. Przy deserze powstał markiz z pełnym puharem w ręku i głosem donośnym i wzruszonym rzekł.

— Za zdrowie mych dobrych przyjaciół, mieszkańców Nory! Oby węzły łączące nas od wieków, trwały wieki jeszcze! Oby dzieci nasze tak się kochały, jak my się kochamy i jak ojcowie nasi się kochali!

Grzmot oklasków przyjął ten toast serdeczny — teraz powstał syndyk i odpowiedział:

— W imieniu okolicy całej, której mam zaszczyt być pierwszym urzędnikiem, wznoszę zdrowie pierwszego obywatela i najgodniejszego syna jej, markiza Stefana de Nora! zacnej jego małżonki i jego dzieci! I na pomyślność jego całego domu.

Nowa salwa oklasków, jeszcze głośniejsza niż pierwsza, świadczyła o sympatyi, którą te słowa wzbudziły w sercach. Szklanki zadźwięczały, ręce podawały się do uścisków, nie widziałem nigdy nic więcej wzruszającego.

Wieczór zamek był iluminowany, ognie sztuczne puszczano z tarasów i tańczono w zbrojowni aż do północy, i w tańcu uczestniczyli księża — co kraj, to obyczaj.

Nazajutrz rano zapytał mię Stefano, czy nie zechciałbym jutro zapolować, lecz przestrzega, iż polowanie będzie bardzo żmudne i uciążliwe, choć ładne.

— Z największą chęcią.

— Dobrze więc, wydaj dyspozycye, bo z cztery lub pięć dni będziemy nieobecni. Wyruszymy zaraz po śniadaniu, objad jeść będziemy wieczór w Pignerol, a nocować u pewnego kłusownika — jednego z mych przyjaciół, który będzie zachwycony twą znajomością. Jest to jedna z ciekawych osobistości naszego kraju.

O jedynastej nazajutrz, wsiedliśmy, Stefano, strzelec jego i ja do powoziku myśliwskiego, którego kufer naładowany rozmaitą prowizyą aż trzeszczał, a który w koszu z tyłu zamykał nasze psy. Strzelby między kolanami, a ładownice na ramieniu.

Jazda odbyła się szybko i wesoło. Dwa małe ogierki sardyńskie zaprzężone do naszego powozika biegły jak sarny, markiz opowiadał mi mnóstwo anegdot myśliwskich, i to takich, w które udaje się, że się im wierzy, by jeszcze cudowniejszemi historyami odwzajemnić się, dosyć że czas przechodził szybko i 4-ta biła w Pignerol gdy wysiadaliśmy w podwórzu oberży Croce-Bianca, najlepszego zajazdu miasteczka. W pięćdziesiąt minut siedzieliśmy już dobrze nakarmieni na mułach, które nas miały po dyabelskich drogach zanieść do sadyby starego kłusownika.

Ścieżka, którąśmy podążali, wijąc się wężowato na stromy szczyt, odkrywała oczom naszym coraz nowsze i wspanialsze krajobrazy, tem piękniejsze, iż oświecone jaskrawymi promieniami zachodzącego słońca, u stóp naszych Pignerol nikło pomało w mroku wieczornem, dalej błyszczały Racconis, Sarigliano, Fossano w magicznym blasku słońca. Od zamku Nora przynajmniej ośm mil przestrzeni oddzielało nas.

Gdy słońce znikło zupełnie za szczytami Alp, widok stał się jeszcze wspanialszym, jeźli to było już możliwe. Śniegi szczytu Viso błyszczały jaskrawiej i fantastyczne cienie zaczęły okolicę napełniać, księżyc zaś otoczony orszakiem gwiazd ukazał się na lesistych szczytach Apeninów. Ostrość powietrza i wierzchowce nasze, które postępować zaczęły z większą szybkością i łatwością, kazały mi wnioskować, żeśmy dosięgli szczytu wyżyny, na którą od dwóch godzin pięliśmy się, przypuszczenie moje potwierdził Stefano, który zrównał swego muła z moim, mówiąc:

— Możemy teraz obok siebie jechać, gdyż droga ma 3 mile szerokości, lecz nie na długo, będziemy musieli podobną ścieżkę zjeżdżać, po jakiej tutaj się dostaliśmy — jeżeli muł twój upadnie, daj mu się samemu podnosić, inaczej przepadłeś, one nie lubią gdy im się kto w ich interesa miesza.

— Czyśmy jeszcze bardzo oddaleni od chaty twego kłusownika?

— O trzy ćwierci mili, ale najmniej z półtory godziny będziemy potrzebowali na przebycie tej drogi.

Szczęśliwie spuściliśmy się w dół. Po pięciu kwadransach marszu, usłyszeliśmy szczekanie psa i prawie w tej że samej chwili ujrzeliśmy światełko błyszczące pod nami w strasznej głębokości.

— Jeszcze 10 minut i jesteśmy — rzekł Stefano — lecz ten kawałek drogi nie należy do najrzyjemniejszych. Zmówno modlitwę do Anioła Stróża, to nigdy nie zawadzi.

Nie chciałem się przyznać, żem to już od dawna uczynił i na nowo zacząłem.

Naraz muł mój zatrzymał się, Stefana toż samo, pies szczekał ciągle.

Drzwi się otwarły i ujrzeliśmy przed sobą wnętrze chałupki oświecone dużym ogniem.

— To nie może być nikt inny, jak tylko markiz de Nora, który o podobnej godzinie przybywa — rzekł głos gruby i jowialny. — Cietrzewie muszą się dobrze trzymać jutro.

— Dobry wieczór, Titano — odpowiedział markiz zsiadając. — Nie oczekiwałeś mnie jak widzę.

— Myli się wasza excelencya, łóżko gotowe już od wczoraj, a ja dziś cały dzień góry przebiegałem. by się dowiedzieć gdzie zwierzyna przebywa.

— Przywiozłem ci przyjaciele mego, francuza, zarekomendował mię markiz.

— Bądźcie pozdrowieni, excelencye.

Podczas tej rozmowy zsiadłem z muła i wszedłem za markizem do wnętrza chaty.

Ogień o którym wspominałem, oświecał od góry do dołu wszystkie kąty, lepiej niżby to zrobiła światłość dzienna. Mogłem więc dobrze poznać od razu i miejsce i gospodarza postać.

Chata była obszerną, czystą i dobrze umeblowaną silnymi sprzętami wiejskiemi. Na prawo od komina było małe łóżko, a drugie, daleko większe, po lewej, stół zajmywał środek pokoju, a bufet pokryty grubemi ordynarnemi garnkami stał w rogu.

Połcie słoniny zwieszały się ze sufitu, okap komina dźwigał cały arsenał składający się z długiej pojedynki, z dubeltówki, karabina, pary pistoletów i pałasza, którego rękojeść zdobił temblak bawełniany i para epolet z wełny czerwonej, kilka rycin zwykłych, przylepionych do ścian przedstawiających Karola Alberta, Napoleona i Arcyksięcia Karola — te trzy osobistości były ulubionymi bohaterami Titana.

(D. c. n.)



Austryacki zjazd łowiecki

we Wiedniu.

Dnia 9. marca br. odbył się w Wiedniu austryacki zjazd łowiecki, zwołany przez wiedeński „Jagdclub“. Na zjeździe tym, na którym reprezentował nasze Towarzystwo hr. Antoni Wodzicki, wzięło udział bardzo wielu przedstawicieli łowiectwa i wszystkich gałęzi gospodarstwa rolnego, spraszający bowiem klub pragnął poczynić pierwsze kroki do porozumienia się między myśliwym a rolnikiem i leśnikiem.

Otworzył zjazd przemową prezes wiedeńskiego klubu myśliwskiego, ces. radca W. R. Huber. W przemowie tej wspomniał o podobnym zjeździe w r. 1885 odbytym, (patrz artykuł wstępny *Łowca* z d. 1. stycznia 1886 r.) i stwierdził, że ówczesne starania, dążące do połączenia wszystkich towarzystw łowieckich w Austryi celem jednolitego działania, spełzły wówczas na niczem. Dzisiejszy zjazd ma na celu zainicyować porozumienie się między przyjaciółmi i przeciwnikami łowiectwa, i dla tego zaproszenie objęło szersze warstwy. Chodzi o to, żeby z obu stron nie zamykano uszu na usprawiedliwione zażalenia, lecz żeby ułożono *modus vivendi* między łowiectwem i gospodarstwem rolnem i leśnem.

Po przemowie tej przystąpiono do wyboru prezydyum. Prezydentem wybrany został ks. Karol Auersperg, jednym z wiceprezydentów delegat nasz, hr. Antoni Wodzicki. Po przemowie prezydenta zabrał głos delegat ministerstwa rolnictwa, radca sekcyjny Tomaszewski, który zapewnił zgromadzenie, że ministerstwo to jest żywo zainteresowane obradami zjazdu i że będzie się starało uchwały zjazdu o ile możności uwzględnić.

Następnie wygłosił bardzo interesujący referat „O ekonomicznem znaczeniu łowiectwa Karol Hiltl, z Kastenfeld w Karyntyi, o następującej treści: W Austryi około 10.000 km. a więc 11·75 prc. krajów alpejskich, albo 3·25 prc. całej powierzchni państwa austryackiego jest nieproduktywnych i tylko dla łowiectwa odpowiednich. Znaczenie łowiectwa ilustruje wysokość wartości ubitej zwierzyny, opłaconych czynszów za polowania, ściągniętych należytości za karty łowieckie, za stemple, na poczet w niektórych krajach koronnych wprowadzonych podatków łowieckich, w końcu liczba ludzi, zajętych przy łowiectwie i z niego mających utrzymanie. Według urzędowych statystycznych dat za ostatnich lat 25, roczna wartość przeciętna ubitej w Austryi zwierzyny (z wyjątkiem Dalmacyi) wynosi 5,143.037 kor. z tego 1,635.485 czyli 31·8 prc. z własnych polowań, 3,507.552 kor. czyli 68·2 prc. z polowań wydzierżawionych. Czynsze za polowania wynoszą 3.896.000 kor. Personal łowiecki wynosił według dat ck. ministerstwa rolnictwa 33.258 osób, które przy przeciętnej płacy 600 kor. pobierają 19,995.500 kor. rocznej pensyi. Należytości za karty łowieckie i za stemple wynoszą 650.000 kor. opłaty za wykonywanie łowiectwa około 88.000 kor. na utrzymanie psów, karmę dla zwierzyny i inne wydatki, licząc po 150 kor. za każdy z 32.168 objektów łowieckich, wydaje się rocznie 4,824.600 kor. W wydatkach na płace robotników przy przemysłach, przerabiających produkta łowiectwa, a więc w kuśnierstwie, garbarstwie, kapelusznictwie, przy zużytkowaniu tłuszczów, wypychaniu zwierzyny itp. figuruje cyfra 462.600 kor., producenci broni i amunicyi otrzymują rocznie 250.000 kor. Rocznie zatem wpływa w bilans ekonomiczny ludności państwa blisko 32 miliony kor., które to źródło w razie upadku łowiectwa musiałoby wyschnąć.

Wzgląd na szkodę przez zwierzynę czynioną, nie może tu być użytym jako argument przeciw, bo jest rzeczą powszechnie znaną, że najczęściej płaci się wyższe odszkodowanie, niż poczynione szkody wynoszą. Najwyższe kwoty, uzyskane za produkta łowiectwa dają kraje południowo-zachodnie monarchii, gdzie łowiectwo przez racyonalną opiekę od dawnych lat wykonywaną doszło do wysokiego stopnia rozkwitu.

Tutaj wartość ubitej zwierzyny wynosi rocznie

2,750.000 kor. W krajach naddunajskich wynosi ta wartość kwotę 1,250.000 kor. Rewiry górskie alpejskie, zawierające przeważnie grubą zwierzynę, cieszą się także względnie wielką opieką. Te kraje uzyskują za ubitą zwierzynę rocznie około 830.000 kor. Tylko na Wybrzeżu, gdzie górzysty Karst mało sprzyja rozmnoży zwierzyny, wartość ubitej zwierzyny wynosi zaledwie 50.000 kor. rocznie. Referat swój, nagrodzony oklaskami, kończy mowca wskazaniem na korzyści, jakie łowiectwo daje uprawiającym je miłośnikom, a mianowicie zdrową zabawę, która odświeża umysł a ciału daje siłę i zaprawia je do trudów.

Radca leśnictwa, Wang, reprezentant austryackiego związku towarzystw leśnych, powstaje przeciwko temu, żeby łowiectwo uważać wyłącznie jako sport, chociaż przyznaje, że niektóre sporty, np. fotograficzny przyczyniły się niemało do rozwoju pewnej gałęzi nauki. Łowiectwo ma także niemałe znaczenie dla nauki i sztuki, wykonywanie łowiectwa bowiem opiera się przeważnie na znajomości życia zwierząt, podnosi ono ducha, wzmacnia dar obserwacyjny i rozwija sztukę panowania nad sobą. Dla tego obok hasła: „chrońcie kultury“ powinno także rozbrzmiewać hasło: „chrońcie zwierzynę“.

Referat „o przepisach prawnych łowieckich“ wygłosił adwokat wiedeński, Dr. Ernest Plutzar, „O ochronie zwierzyny“ p. Ludwik Hradecki z Frohdorf, „O szkodach przez zwierzynę czynionych“ p. Maksymilian Hrdliczka z Wiednia, „O przepisach odnoszących się do personalu łowieckiego“ p. Wiktor Weiss z Sonnberg.

Bliższe szczegóły o tych interesujących referatach podamy w następujących numerach *Łowca*. W końcu referował p. August Denk, fabrykant z Wiednia, o organizacyi łowieckiej, poczem zgromadzenie uchwaliło utworzyć związek austryackich łowców i wybrało do przeprowadzenia tej uchwały komitet wykonawczy. Do komitetu tego weszło po czterech reprezentantów z każdego kraju koronnego i referenci zjazdu. Dla Galicyi wybrano pp. hr. Romana Potockiego, ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego, hr. Antoniego Wodzickiego i Eugeniusza Abrahamowicza.

Korespondencye.

Wysuczka, 22. marca 1901.

Minęły polowania zimowe i tylko echa ich odzywają się w naszym *Łowcu* w formie suchych sprawozdań, z których z czasem piękną statystykę wzrostu i ubytku zwierzyny w naszym kraju ułożyć będzie można, byle tylko szanowni delegaci nasi regularnie sprawozdania te nadsyłali. Władze nasze administracyjne coraz gorliwiej zajmują się tą gałęzią kultury krajowej, która kiedyś może znaczne krajowi korzyści przynieść, a która była dotychczas po macoszemu traktowaną.

Rzeczą jest pewną, że jeżeli czy to szef kraju czy szef powiatu nie ma w sobie iskry św. Huberta, idzie ta gałęź kultury w zapomnienie lub robi się błędy, przynoszące nieobliczalne szkody. O naszym szefie kraju, hr. Pinińskim, powiedzieć tego nie można, bo jest sam myśliwym, ma rewiry łowieckie i dlatego łowiectwo krajowe ma w nim najgorliwszego rzecznika, a w ślad za tem idzie, że i szefowie powiatów studyują więcej ustawę łowiecką i wystrzegają się błędów, jakie dawniej na porządku dziennym bywały.

Oby jeszcze nasz szef autonomii krajowej zechciał poprzeć dążenia galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego i wydzielił nam „certum quantum“ z kart myśliwskich na renumeracye dla żandarmeryi, straży akcyzowych i straży leśnych a moglibyśmy być pewni, że szybkim krokiem zdążylibyśmy do wykorzenienia wszystkich nadużyć w łowiectwie. Kłusownictwo kwitnie, bo nie ma zapory, a zapory nie ma, bo nie ma zachęty do wykorzeniania go, handel zwierzyną nawet w zakazany czas kwitnie, bo nikt o to nie dba. U nas dba się o to, aby jak najczęściej ściągnąć, lecz nie dba się o to, aby pomódz temu z kogo się ściąga, by miał z czego dać. Nałożyliśmy na siebie podatek dobrowolny w formie kart myśliwskich i płacimy go, a nawet w tym kierunku objawiać się zaczyna gorliwość żandarmeryi, bo przy polowaniu u mnie w Zagrobeli zjawił się żandarm i zrewidował wszystkich towarzyszy, czy mają paszporty na broń i karty myśliwskie. Bardzo słuszne było zarządzenie Radcy namiestnictwa, Zawadzkiego, aby żandarmerya pilnowała tego, bo tym sposobem usunie się od polowań bardzo wielu myśliwych, którzy sa zdania, że karta myśliwska jest tylko dla posiadających rewiry, lecz czy karty myśliwskie przyczyniły się choćby w małej części do usunięcia kłusownictwa? o tem pozwolę sobie wątpić, a dlaczego? bo dochód z kart myśliwskich idzie na subwencye dla artystów, teatrów, rozmaitych gałęzi przemysłu, a ani grosza nie daje się na podniesienie tej gałęzi, z której dochód wpływa. Exelencyo Marszałku, do Ciebie apel od wszystkich z pod sztandaru św. Huberta, weź i Ty nas w obronę. Rewiry szefów kraju bronione, to jest rzecz naturalna, bo na nie zwrócone są oczy władz lecz nam zostawiona samoobrona, która także w różnych okolicach i z różnym skutkiem jest wykonywaną, we wschodniej części kraju zależy od tego, czy rusin, czy polak, w zachodniej, czy sprzyja partyi ludowej, czy Stojałowskiego, czy konserwatywnej lub Daszyńskiego i jakiego wyznania politycznego jest czynnik decydujący.

Austrya górna nie wielka prowincya a przypatrzyć się stosunkom tamtejszym łowieckim, zazdrości się formalnie im, ile oni nagród rocznie wypłacają za gorliwość w przestrzeganiu ustawy łowieckiej.

Nam nie wiele potrzeba, ot np. na razie 4000 koron rocznie rozdać między straż akcyzową, straż leśną itp., a zobaczylibyśmy skutki z tego w najbliższej przyszłości i nie byłoby tyle skarg i utyskiwań w *Łowcu*, co obecnie, na opłakane stosunki.

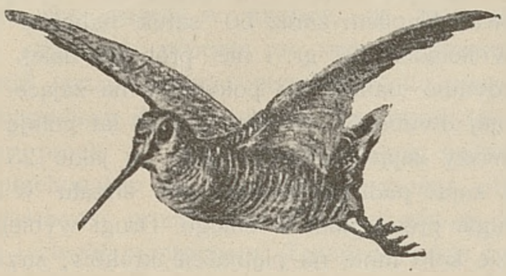
Ciąg słonek rozpoczął się w naszej okolicy 17. marca, nie wiele ich jeszcze jest, ale jest nadzieja, że nadciągną jeszcze i że nie jeden miły wieczór przepędzi się w oczekiwaniu na ten miły dla ucha łowieckiego świst i chrapanie. Sarny w tym roku ginęły mniej, niż roku zeszłego, w Zagrobeli znaleziono 11 sztuk nieżywych, w ordynacyi 22 sztuk, co było powodem, tego niewiadomo, bo i karmę się dawało i lizawki.

Słabość ich niepodobna do zeszłorocznej antiparla-

mentarnej, wychudzone leżały sztuki pojedyncze i dwie takie przywiezione do dworu mimo udzielonego ratunku zginęły wśród kurczów i prężenia się konwulsyjnego.

Kuropatwy przezimowały nieźle i parami już latają, trzymając się stale zrębów.

Czarkowski-Golejewski.



Bajkowce 14. marca 1901.

Pierwsza forpoczta słonek dzisiaj tj. 14. marca zawitała w nasze strony. Zeszłego roku pierwszą słonkę zabiłem 29. marca, więc o 15 dni później. U nas na Podolu dopiero od trzech dni zaczęło puszczać, a w lasach i gajach śnieg leży, to też gdy rano o pół do 7-mej zbudzony zostałem słowami „słonka na inspektach“, nie chciałem wierzyć, ale że to raportował mi mój Hryńko, expers w sprawach łowieckich, więc wstałem i poszedłem do ogrodu, z powodu mgły nie mogłem strzelić, tylko widziałem ją, gdy z pod krzaka agrestu zerwała i odciągnęła dalej. Cały dzień potem buszowałem pobliskie sadki chłopskie i ogród, ale już na nią nie natrafiłem, z pewnością musiała dalej pociągnąć. O dalszym przebiegu tegorocznego ciągu słonek, doniosę Szan. Redakcyi w odpowiedniej porze.

Maniewski.

Nuszcze, 20. marca 1901.

Dnia wczorajszego widziano tu po raz pierwszy trzy słonki i jedna padła.

A. Korpak.

Grojec pod Oświęcimem, 18. marca 1901.

Jakkolwiek do dziś dnia nie byłem prenumeratorem „Łowca“, to jednak poznawszy to pismo z przesłanych mi pięciu tegorocznych numerów, i widząc jak jest znakomicie redagowanem, proszę o wpisanie mnie w poczet członków Towarzystwa.

Przypuszczając, że wiadomości łowieckie z naszych zachodnich kresów interesować będą szanownych czytelników *Łowca* tem więcej, że mało ich w *Łowcu* spotkałem, mam zaszczyt przesłać w załączeniu wykaz zwierzyny zabitej w ostatnich ośmiu latach w Grojcu pod Oświęcimem, wyjaśniając, że bażanty zaprowadziłem dopiero w roku 1897, i że tylko strzela się nadliczbowe koguty.

Gdyby nie znaczne powierzchnie pod wodą, gdzie dużo młodych bażantów ginie, bo samych stawów przeszło 700 morgów, nie częste wylewy rzeki Soły, dziesiątkujące zwierzostan najczęściej w czasie lęgu, a nadto gdyby szanowano kury w kilku sąsiednich rewirach, to stan bażantów byłby do dziś dnia bardzo ładny, jak to ma miejsce zaraz w sąsiednim Osieku.

Zajęcy w tym roku, jak w całej zachodniej Galicyi i Szląsku, a szczególniej na glebie mało przepuszczalnej, bardzo mało, zaledwie 1/5 część, powody podane już w *Łowcu*.

Stan kaczek miejscowych również się zmniejsza, a to z powodu, że w obec intenzywnego gospodarstwa rybnego nie mają potrzebnego spokoju, szczególniej w czasie lęgu, bo szuwar nie może być ze względu na przyrost ryb na stawach cierpianym, a nadto ryby trzy razy karmi się w tygodniu łubinem, co kaczki niepokoi. Nie mało niszczy również jaj kaczych łyska i wrona, której ostatniej mimo puhacza, trucia, wybierania, wytępić nie podobna, bo ciągle z obcych rewirów nadciąga. Najwięcej kaczek strzela się w ostatnich latach w drugiej połowie sierpnia wieczorem na przelotach, a były tak szczęśliwe wieczory, że trzy na wymianę odtylcówki ledwie wystarczały, bo w pół godziny dawało się do 80 strzałów.

W razie, gdyby wiadomości z naszej okolicy były pożądane, chętnie w przyszłości służył niemi będę.*)

Jan Chwalibóg.

---

*) Z zachodniej części kraju, gdzie Towarzystwo łowieckie stosunkowo mniej ma członków, niż we wschodniej części, rzeczywiście mało nadchodzi wiadomości, i dla tego z wdzięcznością przyjmujemy łaskawą obietnicę szanownego korespondenta. *Redakcya.*

Grojec, powiat Biała, obszar polowania 2600 morgów, w czem 700 morgów stawów.

Rok	Rogacz	Zając	Słonka	Bażant	Kurop.	Przepiórka	Cietrzew	Gęś	Kaczka	Nurek	Łyska	Kszyk	Kurka	Derkacz	Kulon	Mewa	Wydra	Lis	Tchórz	Kuna	Pies	Kot	Orzeł	Jastrząb	Wrona	Sroka	Czapla	Bocian	Bąk duży	Laska
1893	2	158	—	3	95	8	—	—	170	5	8	3	9	4	4	3	2	1	—	—	3	8	1	11	16	11	14	6	2	3
1894	—	199	1	4	106	7	—	1	189	6	11	4	5	6	7	5	5	—	—	1	2	11	—	10	19	15	25	7	1	2
1895	3	187	3	2	119	3	—	—	168	1	8	10	4	2	4	2	2	—	1	—	4	9	—	12	17	13	9	4	3	1
1896	—	178	—	14	104	2	1	—	189	2	6	3	6	23	12	5	—	—	—	—	5	8	—	9	36	6	19	3	1	4
1897	6	224	—	6	185	1	5	—	260	3	4	38	5	19	7	26	3	—	4	—	6	9	—	7	52	8	14	5	2	6
1898	2	222	1	13	221	2	—	—	298	2	6	30	4	6	5	10	—	—	2	1	3	17	—	16	61	9	13	6	1	8
1899	3	218	—	29	231	3	—	1	268	3	16	24	3	10	4	8	—	1	—	—	6	15	—	27	140	19	16	3	2	4
1900	4	111	1	27	167	1	1	—	327	5	13	20	6	8	10	34	—	1	3	—	5	10	—	10	78	13	7	4	3	6

Raba wyżna 6. lutego 1901.

Sezon polowania się już zakończył, strzelby stoją odczyszczone, psy wyglądają z zagrodzenia i dziwią się co to takiego, że już szósty dzień na polowanie nie idą a ja pozałatwiawszy pilniejsze sprawy, rachuję i namyślam się. Zgadniecie łatwo nad czem — kiedy znowu na polowanie pójdę.

O ile w lutym nie trafi się polowanie na dziki, to trzeba będzie aż do kwietnia na toki głuszca czekać, zawsze to jeszcze blisko 3 miesiące, które tem dłuższe mi się wydają, że przez sezon dwa albo trzy razy na tydzień polowałem.

Zapewne nie jeden z czytelników pomyśli sobie — a to tam musi ładnie wyglądać, kiedy wciąż polują, otóż nie chcąc nawet przez chwile uchodzić w myśli czytelnika za myśliwego nie szanującego zwierzyny, zaraz go uspokoję i dodam, że nie tylko nie mniej, ale w wielu rewirach znacznie więcej mamy zwierzyny, niż w roku zeszłym. Sarny z roku na rok się mnożą i te rzeczywiście wdzięczne są za opiekę. Zajęcy nie przybywa, tak jak sarn, ale zawsze mamy ich w tym roku więcej i nie mogę zrozumieć, dla czego miałoby ich być w tym roku mniej w zachodniej Galicyi, zarazy żadnej nie spostrzegłem, a rok 1900 był przecież aż zanadto suchy i dla zajęcy korzystny. U nas ozimin bardzo mało, trochę łubinu tu i ówdzie zasianego, to oprócz dzikiej paszy całe pożywienie i w ogóle góry to nie jest ojczyzna zająca. Jedyne korzystne warunki są, że drutów nikt nie zastawia, kłusowników mało a lisy tępimy wszelkimi sposobami.

Teraz muszę wytłómaczyć, jak się to robi, żeby tak często polować a zwierzyny nie niszczyć. Otóż przedewszystkiem teren jest obszerny i dobrze zaokrąglony, polujemy bowiem zawsze razem z mym sąsiadem, Dr. Józefem Kadenem, który jest doskonałym strzelcem i miłym towarzyszem i mamy razem polowanie na siedmiu obszarach dworskich i czternastu gminach, nie jesteśmy tedy wstanie mimo tak częstego polowania obejść wszystkich rewirów. Polujemy wyłącznie z psami pólogarami i ogarami, w 4 do 8 strzelb. Psów gończych mamy 11, z tych bierzemy jednak 5 do 8, tak, że zwykle na jedną strzelbę wypada jeden pies.

Wyniki polowań zależą od terenu i najlepsze były: Rdzawka: 3 rogacze, 3 lisy, 6 zajęcy. Jamne: 1 rogacz, 3 lisy, 7 zajęcy, 1 słonka, Role: 2 rogacze, 15 zajęcy — niżej 6 zajęcy uważamy polowanie za nieudane. Jeżeli się zważy, że mieszkamy od siebie o 10 kilometrow i nie lubimy bardzo rano wstawać, przyjeżdżamy do siebie na 8 i pół lub 9-tą, a nieraz potrzebujemy 2 godziny na dostanie się na pierwsze stanowisko, bo podjechać się prawie nigdzie nie da, a jeszcze przerwa na bigos, to trzeba rachować, że polujemy 5 do 6 godzin. Przy naszych skromnych wymaganiach jesteśmy z takiego wyniku polowań zadowoleni i nasłuchamy się grania psów do woli. Sezon polowania zakończyliśmy w Ponicach, padł dzik wycinek i cztery zające.

Mimo, że już tyle czytałem w *Łowcu* o bezdymnem prochu, to jednak i ja jeszcze moje zdanie o nim mam zamiar wypowiedzieć. Czuję się do tego tem bardziej upoważnionym, że się z poprzednikami nie całkiem zgadzam.

Zachęcony ślicznymi strzałami Dra Kadena który wyłącznie strzela oryginalnymi nabojami bezdymnego prochu z Wöllersdorf ze swej dwunastki hamerles od Splichala kupiłem 10 nabojów na próbę i wziąłem je na polowanie do Rdzawki. Polanką przebiegał mi rogacz daleko, ale mając zaufanie do bezdymnego prochu i śrótu Nr. 0. strzeliłem do niego i rogacz padł z dymem. Narachowałem 72 kroków i oglądnąłem strzał, miał śróty w komorze i jeden w karku. Wogóle niechętnie strzelam do rogaczy śrótem na 50 kroków, co uważam jako granicę śrótowego strzału do rogacza, tembardziej tedy proch bezdymny mi zaimponował. Kupiłem zaraz 50 sztuk nabojów bezdymnych z Wöllersdorf 2·7 gr. i nie próbując dalej, wziąłem same bezdymne naboje na polowanie na zające. Strzelałem z mojej dwunastki, z którą już 14 lat poluję.

Pierwszy zając wyszedł wolno, na jakie 25 kroków strzeliłem, zając padł na miejscu, pół strzału w przodzie zająca, drugie przed niem w śniegu. Drugi wybiegł w pełnym pędzie koło mnie na piętnaście kroków, strzeliłem do niego raz i drugi, zając poszedł widocznie zestrzelany i padł o jakie 60 kroków, miał silnie rozstrzelone łapki przednie i 2 śróty na kraju łopatki, zresztą nigdzie żadnego śladu nie było. Trzeci zając wyszedł pędem na 50 kroków, strzeliłem dwa razy, zając poszedł postrzelony zdymiskami w gąszcz i nie znaleźliśmy go. Czwarty wyszedł na 25 kroków silnym pędem, strzeliłem 2 razy, zając poszedł postrzelony. Po miocie poszedłem za nim, leżał na 40 kroków od drugiego strzału za pagórkiem, miał śróty na pysku, szyi i przednich łapkach, więcej nigdzie. Piąty zając wychodzi na 40 kroków pędem, strzelam raz, zając idzie, strzelam drugi raz, zając się przewraca. Oglądam go ma śrót w karku.

Takie strzelanie nie było mi przyjemne, zamiast jednak wyrzucić resztę nabojów bezdymnych, postanowiłem zużyć je na zrobienie prób, żeby o ile mi się to uda, dojść przyczyny tych złych strzałów. Wszystkie zające strzelałem na bok, miały tylko śróty w przednich łapkach i wogóle z przodu, miałem tedy już przypuszczenie że brałem za dużo przed zająca.

Strzelałem z tej samej dwunastki do tarczy nabojami bezdymnymi i zwykłymi z 6 gr. prochu czarnego Nr. 1. Wyniki były prawie równe tak co do siły przebijania, jak i co do gęstości strzału, przy cieńszych śrótach jednak proch bezdymny bardziej rozrzucał, chociaż nie o wiele. Po przeprowadzeniu tej próby przyszedłem do przekonania, że nie proch bezdymny jest do niczego, tylko ja nie umię nim strzelać i biorę za dużo przed zająca, przez co dostaje tylko skrajne śróty a główny strzał pada przed zającem. Poprzednio opisane 9 strzałów do zajęcy z jednego dnia, popiera moje twierdzenie, bo wszystkie miały tylko na samym przodzie śróty.

Zwykłym czarnym prochem strzelam przeważnie bliżej idące zające tak, że tylko przednia połowa zająca jest postrzelana a tylna prawie żadnego śrótu w sobie niema, ale jak na proch bezdymny brałem za dużo przed zająca i dla tego źle strzelałem. Twierdzenie moje poparła jeszcze rozmowa z fachowym sztabowym oficerem, który będąc kilka lat kierownikiem zakładu do próbowania broni i prochu, zna się na tych sprawach doskonale i uznał moje przypuszczenie za słuszne, tłómacząc moje złe wyniki tem, że proch bezdymny nadaje większą chyżość śrótom, wskutek czego strzał pada przed zającem przy tym samym sposobie mierzenia, jak przy czarnym w zająca.

Słyszałem już od kilku i to dobrych strzelców, że mierzą zawsze w zająca a nigdy przed niego, chociażby nawet z największą chyżością szedł. Faktem jest,

że zabijają, ale, to co twierdzą o sposobie mierzenia to mi się całkiem nie wydaje i przypuszczam że, nie zdają sobie sprawy z tego, jak mierzą. Zarówno bowiem śróty wychodzące z lufy, jak i zając bokiem pędzący są w ruchu, chociaż nie równie szybkim, i nie wystarczy przy większej odległości i szybkim biegu zająca mierzyć w głowę, żeby mu chociaż skoki zadnie odbić, trzeba tedy strzelać przed niego i to albo mierząc w miejsce, na które zwierz ma przyjść, albo też mierzyć w zwierza prowadzac go, a w chwili strzału posunąć strzelbę trochę przed zwierza.

Przyszedłszy do przekonania, że mierzyłem jak na bezdymny proch za dużo przed zająca, zacząłem brać mniej i przekonałem się, że bezdymnym można, uwzględniając tę właściwość prochu z Wöllersdorf, równie dobrze zabijać jak i zwykłym prochem. Zrobiłem także i odwrotną próbę, bo widząc, że mi się kończą moje patrony bezdymne zacząłem znowu strzelać zwykłymi i cóż się okazało pierwszego dnia, łamałem zającom zadnie skoki i spaźniałem.

Zwracam tedy uwagę na większą chyżość śrótów przy prochu bezdymnym, a co z tego wynika na potrzebę mierzenia mniej przed zwierza niż przy zwykłym i przestrzegam zarazem przed używaniem naprzemian dwu tak różnych gatunków prochu. Trzeba się na jeden zdecydować i wyłącznie nim strzelać.

Zaletami bezdymnego prochu oprócz prawie zupełnego braku dymu jest większa szybkość śrótów, a co z tego wynika, że trzeba mniej brać przed zwierza będącego w ruchu. Chociaż to zrazu jest nieprzyjemne, że trzeba zmienić sposób celowania; do jakiego się przywykło, to jednak do zalet należy, bo im mniej trzeba mierzyć przed zwierza, tem mniejszy zrobi się błąd przez złe obliczenie i różnica między środkiem strzału a zwierzem będzie mniejsza.

Wadą prochu bezdymnego największą jest, że jest drogi, bo tylko w oryginalnych ładunkach trzeba go sprowadzać a powtóre, od niego strzelba rdzewieje, chociaż to rdzewienie nie jest znowu tak straszne. Strzelba dobrze pakułami wytarta a potem wazeliną zwykłą wysmarowana i pozostawiona w suchem ciepłem miejscu, nie rdzewieje, chociaż się jej ani wodą mydlaną, ani „kurolem“ nie smaruje. Dla próby czyściłem strzelbę dopiero na trzeci dzień po strzelaniu bezdymnym prochem, odczyściła się wcale dobrze i żadnego znaku niema.

O ile nadzwyczaj wysoko cenię proch bezdymny przy strzelaniu 8 m/m kulami, bo prawie, że nie potrzebuję uwzględniać łuku i strzelam sobie tak samo na 50 jak i na 150 kroków, to przy strzale śrótem będę się dopiero namyślał i prawdopodobnie do kaczek i kszyków będę strzelał zwykłym prochem, czekając, aż bezdymny potanieje.

Dr. Jan Zduń.

W Tarnowie, 26. lutego 1901.

Dziś przysłał druhowi Sokalskiemu leśniczy z lasu Żarskiego (koło Dąbrowy) kozła, którego porostki składają się z pięciu pni, dwa mają kierunek zwykły, trzeci równej długości sterczy w środku między nimi wprost do góry, dwa zaś znacznie krótsze pochylone są tuż przy czole ku oczom. Szkoda że nie zastrzelono go w czasie, gdy porostki już są wykształcone i mech na nich wytarty.

Jan Kornicki.

Chmielowa, 5. marca 1901.

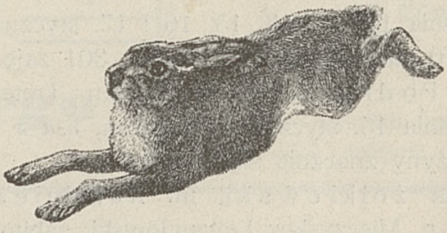
W dniach 23 i 24. stycznia odbyło się polowanie w lasach Franciszka br. Heydla w Beremianach i Świerzkowcach. W kilku okolicznych kniejach w tych samych dniach, równocześnie polowano, to też z licznego grona zaproszonych myśliwych, stawiło się tylko dziewięciu, mimo że knieja beremiańska ma już ustaloną swą reputacyę.

Przy nader niesprzyjającej porze, bo podczas szalonego wichru, wyruszyliśmy do kniei. W dniu pierwszym znalazło się na rozkładzie 114 zajęcy, 4 rogacze i jeden puhacz. Drugiego dnia, skutkiem jeszcze gorszej niepogody, bo do szalonego wichru dołączyła się jeszcze silna odwilż, rozkład przedstawiał się mniej świetnie niż dnia poprzedniego, padło bowiem 60 zajęcy i 4 rogacze. Razem więc padło w dwóch dniach 174 zajęcy, 8 rogaczy i jeden puhacz, zaś trzeciego dnia podczas kilkogodzinnego spaceru w trzy strzelby, ubiliśmy jeszcze w bocznych miotach, które z powodu krótkości czasu w dniach poprzednich były opuszczone 14 zajęcy i 3 lisy. Przez oba wieczory po polowaniu podejmowali nas państwo br. Heydlowie ze znaną gościnnością, to też pod najmilszemi wrażeniami wszyscy uczestnicy polowania się rozjechali.

A. G.

Żółkiew, 8. marca 1901.

Jadąc dnia 4. marca br. pociągiem błyskawicznym ze Lwowa do Krakowa, zobaczyłem przez okno wagonu za stacyą Chorośnica, wronę podlatującą obok toru kolejowego, która miała skrzydła o upierzeniu jasno-pstrokatem. Podaję to do wiadomości p. t. myśliwych z tamtejszej okolicy, może który ją upoluje. Podobną wronę mam u siebie wypchaną, ubitą w roku 1899 pod Przemyślanami w Brzuchowicach. *Michałowski.*



Sprawozdania łowieckie.

Galicya:

Powiat jasielski, m. Zimna Woda i Warzyce, wł. p. Władysław Regier, w r. 1900 ubito razem dzika 1 kozły 2, lisów 5, słonkę 1, zajęcy 30, kuropatw 10, kaczkę 1, przepiórek 4, psów i kotów 10, wron 27, srok 33,

Powiat trembowelski, m. Mogielnica, wł. p. Adam Myslakowski, zabito d. 31. stycznia w 3 strzelby, 5 rogaczy, 1 lisa i 16 zajęcy. Stan zwierzyny świetny. Całe stada sarn przechodziły tak zbite, że trudno było rogacza wybrać. Zające przeważnie były w polu. M. Słobódka, wł. hr. Łosiowa, w strzelb 13 zabito d. 26. stycznia 2 lisy, 96 zajęcy i 2 psy. Stan zajęcy wyśmienity, mogło było paść 200 zajęcy, ale dużo chybiono, do tego dwóch myśliwych strzelało prochem bezdymnym, z tego powodu strzały były bardzo miękkie. Stan sarn ładny, ale w chwili polowania wyniosły się do sąsiedniego lasu, gdzie rąbano dębinę. Opieka nad zwierzyną widoczna, bo w lesie widać rozdawaną koniczynę i urządzone lizawki. M. Kobyłowloki, wł. ta sama, dnia 9. lutego polowano w strzelb 8 i zabito 1 dzika, 1 rogacza i 3 lisy. Było 8 dzików, po zabiciu jednego reszta przebiła się przez nagonkę. Stan sarn bardzo ładny.

Powiat wadowicki, m. Radocza, wł. Dr. Borzęcki, zabito d. 29. stycznia w 5 strzelb 23 zajęcy. Stan zajęcy i kuropatw bardzo ładny.

Powiat wielicki, m. Lazany, wł. p. Zdzisław Brzeziński, dnia 31. stycznia zabito w 4 strzelb 38 zajęcy. M. Kornatka-Lipnik, wł. p. Kazimierz Bzowski d. 28. i 29. stycznia zabito w 7 strzelb 1 dzika, 7 rogaczy, 3 lisy i 56 zajęcy. M. Bierzanów, wł. p. Karol Czecz, dnia 28. stycznia zabito w strzelb 16, zajęcy 119. Polowanie odbyło się wśród szalonej śnieżycy, wiatru, błota, słowem wśród najgorszych warunków. M. Kędzierzynka, wł. p. Stefan Konopka, d. 17 i 18. grudnia polowano w strzelb 4 i zabito przy bardzo złej pogodzie 19 zajęcy.

Powiat zaleszczycki, m. Beremiany i Świerzkowce, wł. br. Franciszek Heydel, zabito d. 23. 24 i 25. stycznia w strzelb 8 i 3, rogaczy 8, lisów 3, zajęcy 174. M. Torskie, wł. p. Wł. Siemiginowski, d. 5 stycznia zabito w strzelb 8, rogaczy 3 i zajęcy 60. M. Latacz, wł. p. Władysław Krasnopolski, zabito w 10 strzelb d. 21 i 22. stycznia, 14 rogaczy, 4 lisy i 131 zajęcy.

Powiat zbaraski, m. Berezowica, wł. p. Mieczysław Konopacki, knieja nieopolowywana od 4 lat. Zwierzyny wiele. W grudniu i styczniu zabito, 2 rogacze, 11 lisów i 7 jastrzębi.

Powiat złoczowski m. Olejów, wł. hr. Wodzickich. Dnia 10, 11, 13, 15, 16 i 17. stycznia polowano w 6, 9 i 10 strzelb i zabito 5 lisów, 301 zajęcy i 35 rogaczy. M. Podlipce, wł. p. Roman Treter, w strzelb 14 zabito dnia 15. stycznia, 1 rogacza, lisa i 38 zajęcy. Stan zwierzyny znacznie się podnosi.

Powiat żółkiewski, m. Rekliniec i Strzemień, wł. p. Mieczysław Lewandowski, zabito d. 30. stycznia w strzelb 4, rogaczy 2, lisa 1, zajęcy 6, sowę 1.

Powiat żydaczowski, m. Trościaniec i Demna, wł. p. Z. Ziembowski, zabito d. 5 i 16. stycznia w 6 i 5 strzelb 13 zajęcy. M. Mikołajów, wł. gminy, w 7 strzelb d. 31. stycznia zabito 2 rogacze i 6 zajęcy. Zajęcy zostało na rok przyszły dużo, również kilkanaście stadek kuropatw, które od 3 lat sprowadzone ładnie się rozmnożyły. M. Hów, wł. fundacya hr. Skarbka, w strzelb 9 zabito d. 31. grudnia i 1 stycznia, rogaczy 2, lisów 4 i zajęcy 5. Wogóle zajęcy i lisów mało. M. Brzezna wł. hr. Lanckorońskiego, polowano d. 28. grudnia na polach i w lasku i zabito w 2 strzelby, 3 rogacze i 1 lisa. Na Dniestrze zabito w grudniu w pojedynkę 1 lisa i 23 kaczek, w styczniu 16 kaczek. M. Malechów, wł. ten sam, zabito d. 22. stycznia w 11 strzelb 4 rogacze i 3 zające. Stan zajęcy bardzo mały, sarn dużo.

Kalendarz łowiecki.



„Chrap, chrap, chrap, ćwirk, ciągnie nad nami,
„Każdy pilnuje, każdy wycela,
„Bac! bac! — dwa strzały... poszła krzakami.
„Źle się z początku do słonek strzela,
„Zbyt bije serce w pierwszym momencie,
„Strzela się chciwie i nieprzytomnie,
„Bo pierwsze z wiosną słonki ćwirknięcie,
„Pierwszy jej przeciąg nagły koło mnie,
„Tak myśliwego stropi znienacka,
„Tak mu krew całą do gruntu wzburzy,
„Tak go zaślepi, tak go odurży,
„Jak pierwsza w życiu miłośna schadzka,
„Aż ciemno w oczach, tak coś tam niesie,
„Aż tętni w uszach, tak do niej chce się!

Bartehls.

Pod znakiem słonki upływa koniec zeszłego i rozpoczynającego się miesiąca początek — pod znakiem głuszca i cietrzewia cały ten miesiąc i część maja. Zresztą zajmuje się myśliwy pilnie niszczeniem zwierząt i ptaków drapieżnych.

Ustawa dozwala strzelać cietrzewie, głuszce przez cały miesiąc, dropie, pardwy, ptactwo błotne i wodne do połowy miesiąca.

Siegl, Mołoń i Ska

Centrale LWÓW (Pasaż Hausmanna)

Składy: Krosno, Gorlice, Lwów, Stanisławów, Kołomyja, Schodnica, Czerniowce.

utrzymuja wielkie i obficie zaopatrzone

składy technicznych artykułów.

Kotły i maszyny parowe, elektryczne urządzenia, rury hermetyczne, pompowe i gazowe wszelkich wymiarów oraz łączniki i armatury, materyały gumowe i inne do opakowania maszyn — oleje smarowe, pasy skórzane, gumowe i bawełniane, pompy różnego rodzaju, węże gumowe i konopne, papę dachową, płyty izolacyjne, liny manilowe i druciane, kasy ogniotrwałe i przybory do

instalacyi wodociągowych

tudzież urządzenia dla tartaków, młynów, gorzelń, browarów, cegielni i t. d.

Kosztorysy i oferty po cenach fabrycznych udzielamy P. T. Reflektantom gratis i franko.

Zarząd szkółek

leśnych i ogrodowych

Tadeusza hr. Łubieńskiego

w Zassowie pod Czarną

poleca:

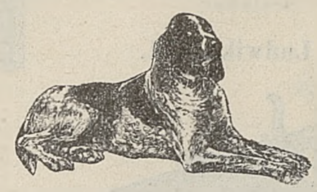
sadzonki leśne,
drzewka parkowe,
drzewka owocowe,
krzewy ozdobne,
i rośliny pnące

po najniższych cenach.

Katalogi odwrotną pocztą i opłatnie.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).



W Łańcucie u łownego Lewickiego są do nabycia psy: „Nero z wierzchu kawowy, pod spodem krasy w drugim polu. „Tiro“ anglik żółty, w drugim polu. „Bój“ anglo-czeskiej rasy, ciemny kasztan, w pierwszym polu. „Koza“ anglo-czeskiej rasy, ciemny kasztan w pierwszym polu. „Hektor“ anglo-czeskiej rasy, 6 miesięcy. „Milan“ anglo-niemieckiej rasy, biały z żółtymi plamami i nakrapiany szczeniuk 5 miesięcy.

Wszelkie kupony

i wylosowane papiery wartościowe

wypłaca bez potrące a prowizyi lub kosztów

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
$4^1/_2$% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
$4^1/_2$% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku krajowego,
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
i wszelkie renty państwowe.

Nadto polecamy akcye Galic. Towarzystwa elektrycznego.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

KANTOR WYMIANY

c. k. uprzyw. glicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

Spółka wydawnicza polska w Krakowie

poleca

świeżo wydaną wytwornie, z portretem mistrza broszurę p. t.

JULIUSZ KOSSAK

Skreślił Józef Skarbek Borowski. — Nakładem autora

Cena koron 3, z przesyłką 3·30.

Do nabycia we wszystkich księgarniach z wyjątkiem w Rosyi.

Rewolwer 6-strzałowy systemu Dreysego, kaliber 25 m. wraz z futerałem jest do sprzedania u rusznikarza Kopczyńskiego we Lwowie, ul. Wałowa l. 5.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**